

Imperium Fritza Radefeldta

Był właścicielem sześciu domów handlowych i jednym z najbogatszych lokalnych przedsiębiorców. Jego nazwisko znali nie tylko przedwojenni mieszkańcy miasta, posługiwali się nim również Polacy. Fritza Radefeldta poznali ze względu na charakterystyczne ruiny, które przez niemal ćwierć wieku stały w ścisłym centrum Gryfina. Gdy zniknęły z powierzchni, wiele osób, zamiast ulgi poczuło smutek. Ten element „dawnego świata” można było odratować

Stanowił symbol dwóch miast. Rozwijającego się i zmierzającego w stronę nowoczesności Greifenhagen oraz niepotrafiącego podnieść się z wojennych zniszczeń Gryfina. Obie jego odsłony zapisały się w zbiorowej pamięci.

- To był niezwykle jak na tamte czasy modernistyczny budynek, w którym znajdował się dom handlowy. Można było kupić w nim dosłownie wszystko – opowiadała Alice Kiehn.

Jej rodzina mieszkała naprzeciwko, w jednym z mieszkań na parterze ratusza miejskiego, dzięki czemu mogła dokładnie przyjrzeć się nietypowej budowli.

Po wojnie obiekt również przyciągał spojrzenia, lecz z zupełnie innego powodu.

- Wyglądał jak znak czasów, które odeszły i nie wrócą – wspomina Leopold Kemmling, historyk-regionalista, który w ruinach Radefeldta spędził dzieciństwo.

Nie on jedyny.

Andrzej Grygiel (rocznik 1948): Przysłał mi świat i to w dosłownym znaczeniu.

Stała za nim kamienica, w której się urodziłem. Jestem chłopakiem z ulicy Marchlewskiego, Radefeldt był moim drugim domem. Bawiliśmy się tam w chowanego.

Henryk Dąbkiewicz (1949): Jako dziecko wchodziłem na parter Radefeldta. Było tam pełno wody w niższych miejscach i wiele siana. Pamiętam, że filary wewnątrz zostały przestrelone do tego stopnia, że było widać pręty zbrojeniowe.

Andrzej Rosiński (1957): Miałem sześć lat, gdy na dachu Radefeldta paliłem pierwsze papierosy.

Mieczysław Sawaryn (1960): Skakały po nim kozy, które pasły się w okolicy.

Ruiny przyciągały nie tylko chłopców.

- Często chodziłam z koleżankami po tamtejszych schodach. Dorośli krzydzeli, że nie powinniśmy tego robić, bo to niebezpieczne. Jednak byłyśmy zbyt ciekawskie – wspominała Helena Śliwińska (1928).

Dawny dom handlowy fascynował i niósł tajemnicę. Jeden z pionierów opowiadał, że w piwnicy stał niemiecki czołg, pod którym załamała się podłoga. Z ust do ust przekazywano historie o radzieckich żołnierzach, którzy wychodzili z budynku z belami materiału na plecach, a gdy nie było już czego wynieść, urządzali w środku zawody strzeleckie. Rozprawiano też o dawnym właścicielu, który nie był dla polskich osadników postacią zupełnie anonimową.

- Wokół wałały się guziki, można było natknąć się też na wieszaki z napisem Radefeldt Greifenhagen – przypomina sobie Maryla Rusiecka (1952).

Kilka sztuk znajduje się w Towarzystwie Miłośników Historii Ziemi Gryfińskiej oraz w zbiorach Biblioteki Publicznej w Gryfinie. Po tym, jak obiekt zniknął z powierzchni, stanowią jedno z niewielu namacalnych świadectw działalności Fritza Radefeldta, przedsiębiorcy, który dbał o to, by mieszkańcy miasta nosili się modnie, a wykonywanie domowych obowiązków przychodziło im łatwiej.

Nie chciał być młynarzem

Nie pojawił się znikąd, ani nie przeszedł drogi od pucybuta do milionera. Jego przodkowie byli znani w okolicy i na innych obszarach prowincji Pommern. W Stargardzie Radefeldtowie zajmowali się produkcją tkanin wełnianych. Sukiennikiem był też Gottfried (1712-1781), który przybył do Greifenhagen w listopadzie 1732 r. To protoplasta gryfińskiej linii, której losy, w wydanej równo dwieście lat później „Kronice rodziny Radefeldt”, szczegółowo opisał historyk Friedrich Hayn. To cenny materiał, choć niekoniecznie dla potrzeb tego reportażu. Mimo że licząca szesnaście stron broszura została zamówiona przez Fritza Radefeldta, nie zawiera zbyt wielu informacji o samym fundatorze, ani o drodze zawodowej, którą przeszedł. Autor sporo miejsca poświęcił jednak dziadkowi i ojcu przedsiębiorcy. Zwłaszcza ten drugi był niezwykle interesującą postacią.

Carl Radefeldt urodził się 16 maja 1831 r. jako syn Daniela Radefeldta (1788-1855) i Dorothei Elisabeth Thielke. Pochodził z Klebow (dzisiejsze Chlebowo), niedaleko Greifenhagen. To warte zaznaczenia, gdyż życie na prowincji nie należało w tym czasie do najłatwiejszych. Duża śmiertelność wywołana chorobami, epidemiami i wojnami, była odczuwalna zwłaszcza na terenach wiejskich i w niewielkich miasteczkach.

Dlatego też starano się o jak najliczniejsze potomstwo. Widać to doskonale na przykładzie Carla. Był jednym z siedmiorga dzieci swoich rodziców, sam doczekał się natomiast aż dwunastu potomków! Dwoje najstarszych pochodziło z małżeństwa z Emilie Billerbick (zmarła przedwcześnie, trzy lata po ślubie, w 1858 r.). Fritz (ur. 27 sierpnia 1872 r.) oraz pięć jego sióstr i czterech braci, pochodziło z drugiego małżeństwa, z Auguste Berthą Mewes.

Carl, podobnie jak Daniel Radefeldt, został piekarzem. Odziedziczył po ojcu rodzinny młyn i zgodnie z tradycją przekazał tajemnice fachu trzem synom: Emilowi (ur. w 1856 r.), Juliusowi (ur. w 1862 r.) oraz Fritzowi (ur. w 1872 r.). Najmłodszy z tego grona nie zamierzał jednak iść w ślady ojca. Wprawdzie mógł pochwalić się tytułem mistrza piekarskiego, lecz nie chciał poświęcać całego życia tej profesji. Fritza od młodości pociągał handel. Początkowo zajmował się sprzedażą zboża. Zanim ukończył trzydziesty rok życia, pracował jako kupiec w Stettinie, odkładając pieniądze na otwarcie własnego biznesu.

Z „Kroniki rodziny Radefeldt” wynika, że różnił się od swojego ojca. Carl Radefeldt z czasem stracił to co najcenniejsze - rodzinny wiatrak. Zmuszony do zmiany branży, został komisarzem firmy winiarskiej braci Lorenzen w Stettinie i pośrednikiem w obrocie nieruchomościami. Zmarł 30 kwietnia 1905 r., w wieku 74 lat.

- Był pełen humoru, bardzo sprawny umysłowo. Osiągnął w swoim życiu wiele, nawet jeśli nie rozumiał sztuki utrzymania tego, co posiadał – napisał Hayn, cytując zapewne słowa Fritza, który będąc fundatorem kroniki, widnieje jako jej współautor.

Naprzeciwko ratusza i kościoła

Fritz Radefeldt bez wątpienia napawał swoich rodziców dumą. Wykazał się największą żylką do interesów ze wszystkich braci i żyjących krewnych. To on rozślawił nazwisko rodowe, osiągając majątek, którego zazdrościć mogło wielu gryfinian. Utrata

rodzinnego młyna, choć zapewne bolesna, okazała się więc błogosławieństwem. Pozwoliła bowiem Fritzowi na rozwinięcie skrzydeł i obranie własnej drogi. Związał ją z Greifenhagen, gdzie jego ojciec kupił w 1876 r. dom przy Fahrstraße 390. To powojenna ulica Marchlewskiego, która wraz z wyburzeniem ostatnich kamienic, na początku lat 90. XX wieku zniknęła z planów i map miasta. Mieszkanie Radefeldtów znajdowało się kilkaset metrów od miejsca, w którym 31-letni Fritz założył pierwszy sklep przyszłego koncernu Radefeldt. Wybór kamienicy na rogu Mühlenstrasse (dzisiejsza Kościelna) i Brückenstrasse 25 (dzisiejsza Piastów) nie wynikał jednak z sentymentów. Budynek stał w reprezentacyjnym miejscu, niedaleko kościoła i ratusza oraz mostów pozwalających dostać się na teren między dwiema odnogami Odry. Okolica miała zresztą odpowiedni charakter. Dwa numery dalej działalność prowadzili bracia Boeckerowie, którzy handlowali artykułami przemysłowymi. Sklep przy Brückenstrasse 23 znajdował się w posiadaniu ich rodziny od 1838 r. W 1852 r. przebudowali kamienicę, a wybudowany w stylu flamandzkim budynek nadał miejscu dodatkowego blasku. Przyciągał wzrok także w 1931 r., gdy sklep odkupił Erich Steppel, przerabiając go na Dom Podarunków. Nieco bliżej parku, pod numerem 18 znajdowała się Greif-Drogerie, której właścicielem był Heinrich Ackerman, zaś pod „dwudziestką” sklep z manufakturą prowadził Otto Pincus, przewodniczący gminy żydowskiej w Greifenhagen.

- Przechadzając się wzdłuż Brückenstrasse, moglibyśmy właściwie zaspokoić wszystkie swoje potrzeby – mówi Julian Dalidowicz, który przed kilkoma laty zaprosił naszych czytelników na „spacer w czasie”. - Po gazetę, książkę lub kartkę pocztową z życzeniami dla cioci idziemy do Karla Lasse. A co kiedy zgłodniejemy? Otóż w budynku z numerem 24 Fritz Pradel posiadał hotel Zum Schwarzen Adler. Oprócz noclegu istniała też możliwość zjedzenia obiadu w hotelowej restauracji. Obok, pod numerem 21 aptekę prowadził Fritz Mellin. O wygląd swoich włosów moglibyśmy zadbać pod numerem 39, u Franza Kuhfussa. Spacerując przydałoby się w końcu ugasić pragnienie. A przecież najlepiej zrobić to bursztynowym napojem z zawartością chmielu. Pod numerem 11 mieszkał Herman Kasten, handlowiec, wytwórca i sprzedawca napojów alkoholowych. Jeżeli zostałyby jakieś pieniądze, moglibyśmy je wpłacić na konto w działającym od 1921 r. pod „15” Greifenhagener Bank eGmbH – opowiadał miejscowy nauczyciel historii i regionalista.

Sześć domów handlowych

Czym handlował Radefeldt? W późniejszych latach wszystkim, co mogło przydać się jego klientom. W pierwszym etapie działalności skupiał się jednak wyłącznie na odzieży. Otwarty w 1903 r. sklep nie był jeszcze tym, który możemy podziwiać na fotografiach. Mieścił się wprawdzie w identycznym miejscu, lecz początkowo miał siedzibę w zwykłej kamienicy. Zanim zaczęto mówić o koncernie, 31-letni Fritz musiał najpierw ugruntować swoją pozycję w rodzinnym mieście. Zajęło mu to dziesięć lat, bo po takim czasie rozpoczął ekspansję. Dostrzegając rosnący konsumpcjonizm mieszkańców Pomorza, w 1914 r. stworzył filię w *Küstrin* (dziś Kostrzyn nad Odrą), zaś pięć lat później w Bahn (Banie). Nie poprzestał na trzech domach handlowych, otwierając punkty w następnych miejscowościach: Soldin (Myślibórz, 1925) i *Königsberg* (Chojna, 1927) oraz *przejmując w 1925 r. istniejący zakład w miejscowości Templin. W ramach Radefeldt A.G. poczyniono też inwestycje w Neustrelitz i Dramburgu (Drawsko Pomorskie), gdzie dom towarowy otworzyli bracia Schlüter. Tym sposobem Radefeldt-Konzern stał się pierwszą siecią domów handlowych na Pomorzu!* Fritz przykładał wagę do szczegółów. Szczególnie dbał o odpowiednią lokalizację. Swoje sklepy otwierał wyłącznie w centralnych punktach miast. W *Königsbergu*

„Radefeldt” stał przy ratuszu, zaś w Bahn sąsiadował z kościołem. Uwagę przyciągała jego fasada, którą zdobiło siedem potężnych filarów. Obiekt, jako jedyny ze wszystkich wymienionych, przetrwał do naszych czasów. Mowa o słynnej „Pomorzance”.

- Był naprawdę dumny z tego budynku. Uważał, że przyciąga wzrok. Zwykł mawiać, z pewną dumą w głowie, że jego sklep jest najwyższą budowlą w całej miejscowości – wspomina Jürgen Schmidt-Radefeldt, jeden z trzech żyjących wnuków Fritza.

Kontakt nawiązaliśmy w marcu tego roku. Emerytowany profesor lingwistyki romańskiej z uniwersytetu w Rostocku prowadzi internetową stronę o historii swojej rodziny. O dziadku opowiada jako o człowieku z wizją.

- Gdy zmarł, miałem cztery lata, więc o jego życiu wiem przede wszystkim z opowieści i źródeł. Wyłaniał się z nich obraz Fritza Radefeldta, człowieka niewielkiego wzrostu, który posiadał jednak wiele talentów. Był świetnym biznesmenem, bardzo pracowitym, pełnym zapału do życia handlarzem. Sieć sklepów, którą stworzył, mówi sama za siebie. W najlepszych latach zatrudniał około stu pięćdziesięciu pracowników fizycznych i umysłowych – wylicza syn Kurta Schmidta i Evy, najstarszej córki Fritza. Ale o nich później.

Konkurencja ze Stettina

Dostępne materiały i przekazy pokazują, że Fritz Radefeldt doskonale wyczuwał potrzeby rynku. Trafił też na bardzo dobry moment, by otworzyć własny biznes. Na przełomie wieków miasto przeżywało okres prosperity. Zakłady rzemieślnicze rozwijały działalność handlową. Powstawały nowe firmy i sklepy, a założone w XIX w. Greifenhagener Dampfschiffs Reederei (Gryfińskie Towarzystwo Żeglugi Parowej) stało się ważnym przedsiębiorstwem transportowym dla całego regionu. Sporo działało się nie tylko na Brückenstrasse. Gwaro było też na przebiegającej przez centrum Wieckstrasse (dzisiejsza Chrobrego), przy której w każdym roku wyrastały nowe punkty usługowe. Otwierano nowe zakłady. Produkcję dżemów, soków owocowych i sadów sygnowano nazwiskiem Otto Reinicke. Istniała fabryka parkietów Roberta Schäfera oraz mydła i proszku, której właścicielem był Heinrich Möller, biznesmen mieszkający w Pałacyku pod Lwami. Filcowe wyroby, wytwarzane przez zakład Franza Ehrmanna, wysyłano nawet za Atlantyk.

Rozwojowi miasta sprzyjał fakt, iż w 1877 r. Greifenhagen otrzymało połączenie kolejowe ze Stettinem i Breslau. Osiemnaście lat później otworzono natomiast pierwszy odcinek Greifenhagener Kreisbahnen. Gryfińska Kolej Powiatowa, korzystając z „uwolnienia pruskich kolei”, w ciągu następnej dekady rozwijała swoją infrastrukturę w trzech kierunkach: przez Wierow (Wirów) i Klein Schönfeld (Chwarstnica) do Pyritz (Pyrzyce), przez Borin (Borzym) i Bahn (Banie) do Wildenbruch (Swobnicy) oraz przez Neumark (Stare Czarnowo) i Kolbatz (Kołbacz) aż do Finkenwalde (Szczecin Zdroje). Mieszkańcy tych i wielu innych miejscowości - a stacji było ponad 30! - kilka razy dziennie mogli pojechać do Greifenhagen, by załatwić sprawę urzędową lub zrobić zakupy. Fritz i inni przedstawiciele branży korzystali z koniunktury, przyciągając klientelę spoza miasta atrakcyjnymi produktami i konkurencyjnymi cenami.

Kij miał jednak dwa końce. Na tej samej zasadzie mieszkańcy Kreis Greifenhagen mogli udawać się na zakupy do Stettina. Od stolicy prowincji dzieliło ich zaledwie kilkadziesiąt minut podróży pociągiem. Popularne były też – i to nie tylko wśród najbogatszych - rejsy stateczkiem. Z Greifenhagen dopływał m.in. do Schwedt oraz okolice nieistniejącego Mostu Kłódnego w Stettinie. Stamtąd blisko było już do Paradeplatz (dzisiejsza aleja Niepodległości), którego wschodnia pierzeja została zabudowana domami handlowymi i kamienicami o przeznaczeniu usługowym. Jeden z największych domów towarowych znajdował się przy Bramie Portowej. Wybudowany

w 1929 r. UFA Palast (po wojnie słynny Posejdon), na kilku piętrach mieścił nie tylko sklepy i kawiarnie, ale też kino. W drodze powrotnej na statek, idąc przez Breitestrasse (dzisiejsza Wyszyńskiego), można było wstąpić natomiast do niezwykle popularnego Warenhaus Rudolph Karstadt. Tak jak sklep Radefeldta, początkowo mieścił się w parterach kamienic. W 1915 r. wybudowano jednak dla jego potrzeb nowoczesny budynek. Wkrótce regułą stało się, by domy handlowe/mody umieszczać w modernistycznych budowlach, które przyciągały wzrok i pieniądze klientów. O takim właśnie budynku zamarzył również Fritz.

W stronę nowoczesności

Okazja nadarzyła się wraz z nadchodzącym jubileuszem 30-lecia działalności Radefeldt Konzern. Decyzją zarządu A.G., rocznicę uwiecznić miała budowa nowej siedziby.

- Dziadek dorobił się majątku, bo wyczuwał potrzeby klientów, a dodatkowo znał nowoczesne trendy i wiedział, jak podsycać zainteresowanie. Chciał też zostawić po sobie coś wielkiego. Marzył o budowie sklepu, który stanie się wizytówką miasta – wyjaśnia Jürgen Schmidt-Radefeldt.

Fritz nie chciał jednak, by tak jak w przypadku Bahn, obiekt wznosił się nad pozostałymi budowlami. Zwłaszcza, że sklep miał pozostać w dotychczasowej lokalizacji.

- Dziadek był pragmatykiem, ale miał też rozwiniętą stronę estetyczną. Interesował się architekturą i w fasadach domów handlowych starał się łączyć stare z nowym. W Greifenhagen róg Brückenstrasse został zmodernizowany poprzez zaokrąglenie elewacji. Zgodnie z zasadami Waltera Gropiusa i stylu Bauhaus, który zakładał, że budynki powinny łączyć wygląd z funkcjonalnością – tłumaczy emerytowany profesor. Nazwisko autora projektu, według którego wybudowano sklep w Greifenhagen, pozostaje tajemnicą. Dostrzec można jednak, że czerpał silne inspiracje Domem Towarowym Rudolfa Petersdorffa. Modernistyczno-ekspresjonistyczny Kaufhaus o nowatorskiej konstrukcji stalowej, którą pokryto betonem, stanął w Breslau na przełomie 1927 i 1928 r. To jedyne wrocławskie dzieło słynnego Ericha Mendelzona. Podobieństwa widać już na pierwszy rzut oka. W obu przypadkach zastosowano fasadę w postaci zaokrąglonego, wysuniętego wykusza, co miało podkreślać dynamiczność bryły. Identycznie jak w Breslau, ściany zewnętrzne zastąpiono ogromnymi oknami. Mimo ich masywności, za sprawą przewagi linii poziomych w elewacji, całość prezentowała się lekko, przyciągając spojrzenia i zdumiewając (zwłaszcza w niespełna dziesięcioletnim, nadodrzańskim miasteczku). Z zauważalnych różnic: Kaufhaus w Greifenhagen był niższy o trzy piętra. Dziś mówilibyśmy o plagiacie. Patrząc jednak na efekt końcowy, trudno dziwić się, że miejscowy architekt czerpał z pierwowzoru pełnymi garściami. Zaproponowana przez Mendelzona koncepcja wytyczyła bowiem drogę dla innych tego typu obiektów, które powstawały w miastach o gęstej zabudowie śródmiejskich kwartałów.

Uroczyste otwarcie przebudowanego sklepu nastąpiło we wrześniu 1934 r. Z tej okazji właściciel przygotował okolicznościową pocztówkę/ulotkę. Kolorowa kartka prezentowała bogato wypełnione witryny. Wraz z rozbudową zakładu, Fritz rozszerzył zakres proponowanych produktów. Wynika to nie tylko z opisywanej ulotki, ale również innych źródeł. Radefeldt regularnie reklamował asortyment w lokalnej prasie. *Oferuję produkty najwyższej jakości po bardzo dobrych cenach* - wydrukowało w maju 1932 r., a więc dwa lata wcześniej, Greifenhagener Kreiszeitung. Ogłoszenie zawiera listę przedmiotów, które można było nabyć w punkcie: koszule dzienne i nocne, damskie i męskie, fartuchy, stroje sportowe, obuwie, bieliznę i wiele innych produktów, wyłącznie odzieżowych.

- Sprzedawał odzież na każdą porę roku i dla osób w każdym wieku. Później pojawiły się też inne przedmioty. Miał na sprzedaż wszystkie rodzaje małych maszyn elektrycznych do prac kuchennych i domowych. Narzędzia oraz zabawki dla dzieci, wyroby konfekcjonowane, wszelkiego rodzaju zasłony, dywany, dywaniki i akcesoria domowe. Do tego meble, obuwie i inne szewskie wyroby. Pościel a nawet baseny sanitarne – wylicza wnuk.

Rozszerzenie asortymentu łączyć należy ze zwiększoną powierzchnią użytkową obiektu. Dwukondygnacyjny budynek posiadał nie tylko część handlową, ale też podziemne piwnice, które spełniały rolę magazynów. Na górę produkty dostarczano za sprawą jedynej w mieście windy towarowej. Z tego rodzaju transportu skorzystać mogli też klienci, dla których przeznaczono windę osobową.

Nie był jak „Kameleon”

Wygląd sklepu znany nie tylko z fotografii i okolicznościowej ulotki, ale również z relacji ustnych. Podczas wojny, na robotach przymusowych w Greifenhagen przebywała spora grupa późniejszych gryfinian.

- Jako 16-latka, w kwietniu 1940 r. zostałam wysłana do gospodarstwa Williego Mandla, we wsi Kronheide (dziś Żórawie) pod Greifenhagen. Przepracowałam u niego pięć lat. W maju 1946 r. wróciłam do miasta z mężem, który podczas wojny też był tutaj niewolnikiem – relacjonowała Helena Wiśniewska, długo opowiadając o codzienności oraz prawach, jakie przysługiwały Polakom.

- Razem z innymi robotnikami dostawaliśmy raz do roku Spinnstoffkarte für Polen, czyli kartkę na zakupy. Można było wykorzystać ją m.in. w sklepie Radefeldta – tłumaczyła w rozmowie z Maciejem Lisieckim dla potrzeb jego pracy dyplomowej („Gryfino w trudnej dekadzie 1939-1945”).

Dla młodej dziewczyny, pochodzącej z kujawskiej wsi Łąki Markowe, było to zetknięciem z nowoczesnością i spore przeżycie. To jedna z niewielu osób, które na żywo widziały Kaufhaus w dwóch jego odsłonach. Przed nadejściem frontu, w Greifenhagen mieszkała też Józefa Daniela Stefanowska. Na ponowny przyjazd – tym razem do Gryfina - zdecydowała się, gdyż zapamiętała miasteczko jako miejsce, którego nie dotknęły wielkie zniszczenia wojenne.

- Kiedy opuszczałam je w połowie marca, było piękne i praktycznie nienaruszone. Kiedy natomiast wróciliśmy tu z moim przyszłym mężem w maju 1945 r., było zniszczone prawie całe centrum miasta – zwierzała się w książce „Pionierzy Gryfina”. Z zawartych w tej publikacji wspomnień wynika, że śródmieście leżało w gruzach. W tym również Brückenstrasse, jeszcze kilka miesięcy wcześniej jeden z najpiękniejszych zakątków miasta.

- Przy ul. Piastów był taki dom Radefeldta, cały z betonu zrobiony, z balkonami i z balustradami. Miał dach zawalony, był wypalony od środka, ale widać, że było to ładne budownictwo. Tam stało jeszcze kilka spalonych maszyn do szycia – opisywał Władysław Mleczko, gryfinianin od stycznia 1946 r.

W jego opinii polskie władze popełniły ogromny błąd.

- Wielkim grzechem było dla mnie zniszczenie tego domu towarowego. Po wojnie został przecież zdrowy żelbeton i naprawdę można było to odbudować. Mielibyśmy wielki i piękny obiekt – mówił przed laty na łamach naszej gazety.

To kolejna różnica między domami handlowymi w Breslau i Greifenhagen.

Wrocławski, po odbudowie z wojennych zniszczeń stał się Kameleonem. Radefeldt miał dużo mniej szczęścia.

W poprzedniej części:

- * Gottfried Radefeldt przyjechał do Greifenhagen w 1732 r. Rodzina miała w posiadaniu młyn, który utracił Carl, ojciec Fritza.
- * Fritz zaczynał karierę jako pracownik spółki handlowej ze Stettina. W 1903 r. kupił sklep w kamienicy przy dzisiejszej ul. Piastów.
- * W ciągu kilkunastu lat otworzył pięć innych domów handlowych na terenie Pomorza.
- * Na 30-lecie firmy zlecił budowę nowej siedziby w Greifenhagen. Była symbolem nowoczesności, w stronę którego zamierzało pójść nadodrzańskie miasteczko

Imperium Fritza tworzyły nie tylko sklepy, ale też okazała willa. Przedwojenne księgi adresowe wskazują, że stała na terenie dzisiejszego Górnego Tarasu.

- Do Radefeldta przypisany był adres Bergweg 3, czyli ul. 9 Maja - odkrył Aleksander Dąbkiewicz, który towarzyszył nam w tej części poszukiwań śladów dawnego świata Fritza.

Ustalenie dokładnej lokalizacji zajęło kilka tygodni. Problem stanowił brak niemieckich map katastralnych dla opisywanego obszaru. Wciąż żyją jednak osoby, które pamiętają „budynek na wzgórzu”. Jedną z nich jest Michał Dworzański. To tak zwany „stary gryfinianin”. Jego przodkowie zjawili się w mieście niedługo po tym, gdy zawisła nad nim biało-czerwona flaga. Nasz rozmówca urodził się i mieszka praktycznie w tym samym miejscu od 1950 r. W odróżnieniu od większości rówieśników, jego dzieciństwo nie upłynęło wśród gruzów i zgliszczy śródmieścia. Wychował się po drugiej stronie torów, gdzie rozpościerały się pola i sady, na których w latach 70. i 80. wyrosło nowe miasto. Górny Taras, również ten nieistniejący, zna jak własną kieszeń.

- Dziś dookoła są bloki, ale po wojnie stały pojedyncze wille i domy. Były porozrzucane na całej szerokości, od Wojska Polskiego, przez 11 Listopada i Krasińskiego aż do Asnyka. W jednym z nich mieszkała moja rodzina. Do willi Radefeldta mieliśmy rzut kamieniem. Stała na wzgórzu, naprzeciw dworca – opowiadał kilka miesięcy temu.

Alice Kiehn to także gryfinianka, tyle że z rocznika 1916. Była mocno związana z Greifenhagen i gdyby nie wojna, zapewne spędziłaby w rodzinnym mieście całe życie. Po przymusowej ucieczce osiedliła się zresztą tuż za mostem, w sąsiednim Mescherin. Dziewięć lat temu mówiła o tym na łamach naszej gazety, Fritza Radefeldta tytułując kuzynem swojego męża. Opowiadała o nowoczesnym sklepie w centrum i okazałej willi za miastem. Pytana o konkretny obszar, wskazywała na budynek, który polscy mieszkańcy mogą kojarzyć jako dawną siedzibę Wojskowej Komendy Uzuppełnień. Miejsce to typowało też kilku lokalnych historyków. Zdaniem Dworzańskiego, to błędny trop.

- Willa po WKU stoi przy ul. 9 Maja do dzisiaj, a dom Radefeldta został zniszczony i rozebrany. Gdy byłem dzieckiem, leżały tam same gruzy. Kto dobrze w nich pogrzebał, mógł znaleźć przedmioty z tym nazwiskiem. Dlatego, tak jak dzieci ze Starego Miasta, też mówiliśmy rodzicom, że idziemy bawić się do Radefeldta. Dziś w tym miejscu stoi Szkoła Podstawowa nr 2 – komentował 71-latek.

Miał rację. Jeden z rzutów technicznych, wykonanych przed wojną, uchwycił teren ponad torami i stojące w szeregu wille. Rysunek jest o tyle wartościowy, że do każdej posesji przypisano nazwisko właściciela. „Radefeldt” widnieje na terenie zajmowanym przez SP 2.

Wzgórze bogaczy

Kolejne ciekawe odkrycie stanowi pocztówka sprzed ponad stu lat. Dzięki niej wiemy, jak przed wojną wyglądała cała okolica. Przy Bergweg – podobnie jak przy Bismarckstrasse (Grunwaldzka) – mieszkali najbogatsi obywatele Greifenhagen. Licząc od początku ulicy, pierwszy dom zajmował Robert Schäfer, żydowskiego pochodzenia właściciel fabryki parkietów. Budynek przetrwał do naszych czasów, dziś znajduje się w nim Przedszkole nr 1 im. Krasnala Hałabały. Obok przedsiębiorcy z branży drzewnej rezydowała rodzina Heyne, przy której nazwisku pojawia się dopisek „lekarz weterynarii”. Pod „trójką” znajdowali się Radefeldtowie, zaś po drugiej stronie płotu mieszkał Prütz, który zajmował się sprzedażą produktów żelaznych. Willa należąca do jego rodziny także przetrwała wojnę i okres PRL. To właśnie w jej murach siedzibę miało WKU, a aktualnie mieści się Integracyjne Przedszkole Iskierka. Jeszcze dalej stał dom rodziny Hoppe. Ich nazwisko pojawia się w źródłach w kontekście piekarni przy Stettinerstrasse i fabryki cukru w pobliskim Mescherin. Ponadto, jak w „Kronice” odnotował Friedrich Hayn, żoną Paula Wilhelma Hoppe była Else Radefeldt (ur. w 1870 r.), starsza o dwa lata siostra Fritza. Późniejsze przekazy mówią o niej, jako o frau Schäfer, jednak bez adnotacji o ewentualnej śmierci pierwszego męża. Żoną Ericha Prütza została natomiast Hedwiga Radefeldt (ur. w 1881 r.), co pokazuje, że właściciele tej części wzgórza nie tylko należeli do elity miasta, ale byli też ze sobą spokrewnieni i powiązani biznesowo. Świadczy o tym również historia kolejnej z córek Carla Radefeldta. Bertha (ur. w 1864 r.) weszła do rodziny Jacobsohnów, bogatych kupców, do których należał m.in. „biały dom” przy dzisiejszej ul. Grunwaldzkiej oraz sklepy w centrum miasta. Od jej męża, Davida Jacobsohna, Fritz odkupił w 1903 r. lokal przy Brückenstrasse 25, gdzie prowadził działalność przez kolejnych czterdzieści lat. Fritz Radefeldt nie mieszkał w willi samotnie. Również założył rodzinę, choć nie tak dużą, jak jego ojciec Carl. Gdy wypowiedział sakramentalne „Ja”, miał 32 lata. Jego wybranką została 21-letnia Klara Wolff. Informacji o ich ślubie próżno szukać w miejscowej parafii. Zwyczajowo uroczystość odbyła się w rodzinnej miejscowości panny młodej (21 listopada 1904 r.). Klara wychowała się w Stargard in Pommern, gdzie jej ojciec, pochodzący ze Śląska - Louis Wolff - prowadził fabrykę kielbas. Jak wynika z relacji rodzinnych, Fritz trafił z wyborem żony najlepiej, jak mógł. Klara nie ustępowała mężowi w posiadanych talentach.

- Dziadek był zdeterminowany i pragmatyczny, zaś babcia bardziej racjonalna, wrażliwa. Ona również posiadała jednak umiejętności biznesowe i doświadczenie handlowe. Chociaż nie zajmowała formalnego stanowiska, tamten świat należał wszak do mężczyzn, była wiodącą postacią w koncernie. Gdy Fritz podupadł na zdrowiu, kierowała większą częścią logistyki domów handlowych. Rozwiązywała też wszelkie problemy pracowników, często stając w ich obronie przeciw Radefeldt A.G. – charakteryzuje wnuk Jürgen Schmidt-Radefeldt.

Rodzinny interes

Fritz i Klara doczekali się trójki potomstwa. Po raz pierwszy rodzicami zostali 3 maja 1906 r., gdy na świat przyszła Eva. Rok później, w czerwcu 1907 r. urodziła się ich druga córka - Elisabeth. Minęło sporo czasu, ale doczekali się też męskiego potomka. Siedem lat później, 24 sierpnia 1914 r. pojawił się Karl-Ludwig Radefeldt. Będąc jedynym synem przedsiębiorcy, dorastał ze świadomością, że w przyszłości przejmie rodzinny interes. Chociaż mowa o całej sieci domów handlowych (tylko w sklepie w Greifenhagen zatrudniano około 60 osób), słowo „rodzinny” dobrze oddaje charakter firmy.

Fritz, podobnie jak Carl Radefeldt, zadbał o to, by jego córki odpowiednio wyszły za mąż. Elisabeth związała się z pochodzącym z Wierowa (Wirowa) Walterem Grimmem

(ur. w 1904 r.), którego Radefeldt uczynił jednym z dwóch dyrektorów zarządzających. Jako że mowa o asesorze prawnym, Grimm zajmował się umowami handlowymi i zagadnieniami prawnymi. Drugą ręką Fritza był natomiast Willi Littmann (ur. w 1889 r.). Kupiec urodzony w Berlinie, który przyjechał z Kolbergu (dzisiejszy Kołobrzeg), wcześniej obracał tekstyliami. W Radefeldt A.G. odpowiadał za dostawy. Organizował skup hurtowy dla wszystkich sklepów, negocjował ceny, odpowiadał za sprzedaż. Po przekształceniu spółki z Offene Handels Gesellschaft (OHG), czyli jawnej, na Aktien Gesellschaft (A.G.) - akcyjną, cała trójka stanowiła coś na wzór triumwiratu władzy. Littmann zresztą również należał do rodziny. Był spokrewniony z rodziną Schmidtów, do której w 1935 r. weszła Eva Radefeldt.

- Prawdopodobnie to właśnie Willi poznał moich rodziców. Odpowiadał za sklep w Bahn, gdzie mieszkała rodzina od strony ojca. Mój dziadek, Franz Schmidt spędził tam całe życie i w 1944 r. spoczął na miejscowym cmentarzu. Był nauczycielem w szkole podstawowej w Bahn. Z kolei mój ojciec, dr med. Kurt Schmidt, przez dwadzieścia lat, aż do 1945 r. prowadził w miasteczku własny gabinet dentystyczny – opowiada Jürgen Schmidt-Radefeldt, dodając, że Banie są wpisane również w jego życiorys. Mieszkał przy Breitestrasse 18 (dziś Grunwaldzka) przez pierwszych sześć lat życia. Jedynych, które spędził z mamą.

Jego rodzice wzięli ślub 20 maja 1935 r. Wojenną zawieruchę przetrwały dwie fotografie pochodzące z przyjęcia weselnego Ewy i Kurta. Na jednej widzimy gości przed drzwiami wejściowymi Willi przy Bergweg 3. Na drugiej młodzi małżonkowie pozują z uśmiechniętymi rodzicami. Wprawdzie Kurt Schmidt nie był handlowcem ani producentem, lecz Fritz nie miał prawa narzekać na nowego członka rodziny. Jako dentysta cieszył się poważaniem i odpowiednim statusem, o którym najlepiej świadczy fakt posiadania samochodu. W tamtych czasach pozwolić sobie na to mogli nieliczni. Dr Schmidt kupił zresztą automobil, by móc dojeżdżać do pacjentów. Teścia i zięcia łączył zresztą podobny gust motoryzacyjny.

- Obaj jeździli samochodem marki Horch, czyli dzisiejszym audi. Przed wojną charakteryzowały się jakością i nowoczesnością. Uchodziły za luksusowe – opowiada J. Schmidt-Radefeldt.

Auto sprzyjało pokonywaniu trasy między Bahn a Greifenhagen. Jürgen wraz z rodzeństwem regularnie odwiedzali dziadków i kuzynostwo. Przy Bergweg 3 mieszkali również Grimmowie z dziećmi oraz prawdopodobnie Karl-Ludwig Radefeldt z żoną Els i córką Hettie. Miejsca do zabaw było sporo, dzieci miały do dyspozycji ogromny ogród, który rozciągał się kilkaset metrów za domem. Widać to m.in. na fotografiach lotniczych z przełomu 1948 i 1949 r. Granica posesji Radefeldta dosięgała do dzisiejszych bloków!

- Na końcu podwórka znajdował się piękny domek ogrodowy z dwoma dużymi okrągłymi drzwiami i mnóstwem narzędzi w środku. Należały do ogrodnika, którego zatrudniał dziadek. Domek i teren wokół niego jawił się jako tajemniczy i magiczny. Razem ze starszym o rok bratem Ulrichem mówiliśmy, że to dom czarów, polowaliśmy na czarownice – wspomina nasz rozmówca.

Współcześni gryfinianie też mają prawo pamiętać ten budynek. To domek, który do początku XXI w. stał w parku przy ul. 11 Listopada. Poza ogrodnikiem, Fritz mógł pozwolić sobie na własnego kierowcę. Zatrudniał szofera i służbę domową oraz nauczycieli, którzy uczyli jego dzieci gry na fortepianie i języków obcych. Te przydawały się przy zagranicznych podróżach, m.in. do Norwegii. Radefeldt żył tak, jak na jednego z najbogatszych mieszkańców miasta przystało.

Swastyka na dachu

Kolorowa pocztówka z 1934 r., wydana z okazji otwarcia sklepu, pokazuje Kaufhaus w pełnej okazałości. Widzimy nie tylko witryny, ale też trzy powiewające flagi. Na honorowym miejscu znajduje się nazistowska.

- To trudne zagadnienie. Pokolenie moich przodków milczało o przynależności do partii NSDAP, niemniej jednak przypuszczam, że Fritz Radefeldt, jako właściciel sieci domów mody i „kapitalista” w małym pomorskim miasteczku, musiał mieć zawodowy kontakt z władzami publicznymi. Dlatego zapewne, jak większość ówczesnych, był członkiem NSDAP – przyznaje jego wnuk.

Jak dodaje, gdy Hitler doszedł do władzy, Fritz miał 61 lat.

- Jako przedsiębiorca doskonale wiedział, jak dostosować się do zmieniającego się politycznego świata. Żył przez 50 lat w Cesarstwie Niemieckim, przez 15 w Republice Weimerskiej i przez 12 w nazistowskiej dyktaturze. W każdym z powyższych ustrojów prowadził biznes – wylicza Jürgen, tłumacząc, że przedsiębiorcy w pewnym stopniu musieli wchodzić we flirt z władzą, a przynależność do partii nie w każdym przypadku musiała wiązać się z ideologią.

Motywacje były rozmaite. Heinrich Möller, właściciel fabryki mydła (dzisiejsza Gryfena) i Pałacyku pod Lwami, był członkiem NSDAP, a jego syn należał do Hitlerjugend. W „Pionierach Gryfina” Józefa Daniela Stefanowska opowiadała o nim jednak jako o empatycznym pracodawcy, który dbał o grupę robotników z Polski, tworząc pracownikom dobre warunki do lekkiej pracy. Do partii należał również Franz Ehrmann. Przedsiębiorca posiadający fabrykę filcu (dziś w jej miejscu znajduje się nowy komisariat policji) oraz fabrykę wyborów z filcu (Intermarche na Górnym Tarasie), podpisywał z kolei swoje listy i zamówienia uroczystym „Heil Hitler!”. W przypadku wielu przedsiębiorców - zwłaszcza handlowców – poparcie miało prawo z czasem osłabnąć. Rządy nazistów charakteryzował interwencjonizm w działalność prywatną. Zbrojenia sprawiły, że gospodarka III Rzeszy nakierowana była na przemysł wojenny, przez co cierpiały inne sektory. Im dłużej trwała wojna, tym trudniej było o dostawy, a produkty drożały.

- Fritz musiał współdziałać z władzą, ale z pewnością nie był namiętnym członkiem partii ani „narodowym patriotą”. Nie dotrwał zresztą upadku III Rzeszy, po którym dopiero wiele osób dowiedziało się o zbrodniach wojennych, antysemityzmie i Holocauście – opowiada Jürgen.

Z tym nie do końca można się zgodzić. Pierwsze represje wobec społeczności żydowskiej pojawiły się wkrótce po zdobyciu władzy przez Hitlera. Greifenhagen nie stanowiło wyjątku. Na tutejszych murach wieszano antyżydowskie plakaty, a jeszcze w latach 30. władze zakazały utrzymywania relacji z Żydami. Opowiadała o tym Alice Kiehn, przytaczając historię o zaprzyjaźnionym właścicielu fabryki parkietów, z którym jej rodzina musiała zerwać kontakty („Mijałam go przy Bramie Bańskiej. Do dziś nie zapomnę uczucia, gdy minęłam go bez słowa”). W miasteczku posłusznie wykonywano rozkazy. Greifenhagen, podobnie jak Stettin, uchodziło za „brunatne miasto”. W wyborach z 1933 r., gdy NSDAP zdobyło większość parlamentarną, partia Hitlera zyskała w Greifenhagen aż 61,7% poparcia. Dla porównania: w Stettinie 48,2%, zaś w całej prowincji około 56%. Jak mówił prof. Edward Włodarczyk, miasto było jednym z najsilniejszych ośrodków nazizmu na Pomorzu. Potwierdzały to opublikowane kilka tygodni temu wspomnienia Manfreda Hinze. Lekkoatleta i olimpijczyk, który wychował się w Greifenhagen, opisywał wygląd miasta i stosunki w nim panujące. Swastyki wisiały na każdym rogu. Nie tylko w urzędach i siedzibie kreisleitera, ale też w oknach prywatnych domów i w szkole, do której uczęszczał Hinze, zanim wysłano go do nazistowskiej placówki NAPOLA.

Nie wiadomo wprawdzie, jakie poglądy reprezentował Radefeldt, ani w jakim stopniu zaangażował się w działalność partyjną, lecz mowa o niewielkim ośrodku, w którym sąsiad znał sąsiada, często będąc jego krewnym. Fritz, bez względu na ocenę sytuacji, musiał posiadać świadomość tego, co dzieje się w mieście. Z ganku swojej willi posiadał doskonały widok na centrum, w tym na synagogę spaloną podczas „Kristallnacht”. Dostrzec musiał nie tylko lunę unoszącą się nad miastem, ale też zmiany, które zaszły po nocy 9/10 listopada 1938 r. Swój sklep stracił wtedy m.in. przewodniczący gminy żydowskiej. Otto Pincus handlował manufakturą przy Brückenstrasse 20 (dziś pizzeria „pod nóżkami”), dwieście metrów w linii prostej od domu handlowego Radefeldta. Ponadto po „Nocy Kryształowej” Pincus znalazł się wśród 1100 Żydów wysłanych do gett w Piaskach, Bełżycach i Głusku. W transporcie do Generalnego Gubernatorstwa (luty 1940 r.) znalazła się też rodzina Marcuse. Jej członkowie prowadzili przez kilka pokoleń sklep obok ratusza, przy Wieckstrasse 10 (dziś Chrobrego, pasmanteria lub zegarmistrz). Hitlerowskie represje nie ominęły Jacobsohnów. Oni również zniknęli z miasta, na długo zanim tysiące mieszkańców przegonił zbliżający się front.

Wszystko to działo się za życia Fritza. Jedną sprawą jest jednak wiedzieć, a zupełnie inną móc zareagować. Decyzje w sprawie ludności żydowskiej zapadły wszak na zdecydowanie wyższych szczeblach niż ten w Greifenhagen.

Obrazy Trzaskowskiego

Ze wzgórza przy Bergweg, Fritz miał widok na całe miasto i teren Międzyodrza. Przed wojną krajobraz prezentował się jeszcze okazalej, nie przysłaniały go wieżowce, które powstały wraz z budową Elektrowni Dolna Odra. Zmieniła się też okolica wokół willi. O jej dawnym kształcie przypominają drzewa. Tak jak wówczas wyznaczały granicę posiadłości, aktualnie otaczają szkołę oraz boiska do koszykówki i piłki nożnej. Dawny dziedziniec, to dzisiejszy plac z kotwicą, która symbolizuje, że patronem SP2 jest kapitan żegluga wielkiej. Obok niej stoi cis. On również pamięta dawne czasy i mieszkańców. Radefeldowie nie byli jednak jedynymi, którzy mogli spojrzeć z góry na Greifenhagen. Gdy Niemcy uciekli za Odrę, w willi przy dzisiejszej ulicy 9 Maja zamieszkał jeden z polskich robotników.

- Mój tato spędził wojnę w Greifenhagen. Został wysłany na roboty, pracował w jednej z kilku piekarni. Nie pamiętam, której, a tato nie powie, bo nie żyje od prawie 30 lat. Po wojnie został w mieście na stałe. Znał je bardzo dobrze i gdy było już pusto, zajął najlepszy dom na wzgórzu – opowiada Małgorzata Sekita.

Rozszerzoną wersję historii Franciszka Wieruckiego, tyle że z drugiej ręki, zna Michał Dworzański.

- Opowiadał mi ją nieżyjący już niestety krewny Wieruckiego. U Radefeldta mieszkał krótko, bo bardzo szybko willę na wzgórzu odszukali radzieccy żołnierze. Z jakiegoś względu Wierucki wszedł z nimi w interesy. Obiecał przygotować określoną ilość bimbru, ale ze względu na deficyt cukru nie był w stanie spełnić obietnicy. Dlatego uciekł i na kilka tygodni ukrył się w jednej z okolicznych wsi – opowiada Dworzański. Gdy wrócił, willa nie nadawała się już do zamieszkania.

- Gruzy i spalenisko, jakby ktoś oblał budynek benzyną i obrzucił granatami.

Przeszkłone drzwi były całe roztrzaskane – opowiadał bliskim przed kilkoma dekadami. W Archiwum Państwowym w Szczecinie znajdują się księgi meldunkowe z pierwszych, powojennych lat. Kilkadziesiąt tomów, w których rejestrowano przyjazdy i odjazdy oraz zmiany lokatorów i adresów. Zapisy potwierdzają wspomnienia pioniera. Zabudowania po dawnej willi nigdy później nie zostały zamieszkane.

Rubryki dotyczące pozostałych obiektów wypełniły się za to szybko i regularnie. Nowa społeczność Górnego Tarasu ukształtowała się w kilka tygodni. Stanowiła mozaikę osadników z całego kraju: Dworzańscy i Dąbkiewiczowie przyjechali z Poznania, rodzina Siarkiewiczów z Kafusza na Kresach Wschodnich, Trzaskowscy z Małopolski, zaś Fejgowie ze stolicy.

- Warszawa była zniszczona, więc tato wyjechał na zachód. W sierpniu 1945 r. objął w Gryfinie ładny dom z ogrodem. Był jego oczkiem w głowie. W grudniu, gdy rozpoznał swoją nową sytuację, ściągnął mnie i mamę, a później mojego brata Janka, który walczył w powstaniu i był internowany – mówi Barbara Bańkowska z domu Fejge. Jej rodzina zajęła willę Prütza. Gdy wspominamy gruzy, z którymi sąsiedował ich dom, reaguje żywo. Chociaż opuściła miasto na stałe po maturze w 1951 r., nie potrzebuje dodatkowych wskazówek.

- To była dawna willa Radefeldta, który w centrum miasta miał modernistyczny sklep. Jego dom, a raczej pozostałości, też świadczyły o tym, że był to niezwykle budynek. To nieszczęście, że ze wszystkich willi na Górnym Tarasie, ucierpiała właśnie ta. Pamiętam pięknie, kaskadowo urządzone kwiatony. Wszędzie było pełno szkła po tym, jak ktoś rozbił przeszklone drzwi do salonu. Zapamiętałam też zachowaną konstrukcję schodów i dużych rozmiarów piwnicę – ocenia Bańkowska, architekt i doktor urbanistyki z Gdańska.

W jej opowieści podziemna część budowli pojawia się w jeszcze w innym kontekście.

- W piwnicy leżały gruzy, ale można było czasami coś wygrzebać. Do dziś mam filizankę, którą tam znalazłam. Jest moją największą pamiątką rodzinną z tego okresu – przyznaje autorka książki „Urbanistyka i ja”.

Jej wspomnienie stanowi element pamięci zbiorowej.

- Wszyscy szperaliśmy w tych ruinach i mieliśmy w domach wieszaki lub sztuce Radefeldta – uśmiecha się Michał Dworzański.

- To symbol czasów i miejsca. Talerzyki poniewierały się w ogrodzie, w zaroślach i na polach. Szabrownicy odrzucali je na bok, uznając za mało wartościowe. Dla nas miały za to ogromną wartość. Panowała bieda, a osadnicy musieli na coś usiąść, z czegoś zjeść i wypić – potwierdza Krystyna Pokrzywnicka.

To z kolei wnuczka Antoniego i Adeli Trzaskowskich, który w sierpniu 1947 r. zajęli dawny domek ogrodnika. Szczególnie ważną postacią dla tej opowieści jest ich syn.

- Tadeusz Trzaskowski był bratem mojego ojca Kazimierza. Leśnikiem z artystycznymi inklinacjami, który zabierał mnie na spacer w okolice ruin Radefeldta. Łapałam żaby, a wujcio Tadzio malował okolicę. W ten sposób na dwóch akwarelach uwiecznił pozostałości po dawnej willi niemieckiego bogacza – opowiada Krystyna Pokrzywnicka.

Dziś obrazy wiszą w Kołobrzegu i Szczecinie, gdzie zamieszkali potomkowie Tadeusza Trzaskowskiego.

- Przedstawiają ruiny z dwóch perspektyw. Na obrazach widać zachowaną kubaturę, pokruszone schody i narożnik budynku. W tle znajduje się natomiast monumentalna brama wjazdowa na teren posesji – charakteryzuje Pokrzywnicka, dr hab. inż. architektury z Sopotu.

Sprawne „gryfińskie oko” może rozpoznać ten element.

- Dawne słupy od bram wjazdowych oraz mur oporowy otaczający willę zachowały się do dzisiaj. Obecnie wykorzystane są jako betonowy płot przy SP nr 2 – tłumaczy Aleksander Dąbkiewicz, potwierdzając, że w Gryfinie zna każdy ponemiecki kamień.

Remont, jeśli NRD odda ziemię

Polskie księgi meldunkowe milczą, a rysunki techniczne wykonane w latach 60. opisują willę jako „gruzy”. Dokładając do tego lotnicze fotografie, na których widać, że budynek nie ma dachu oraz dwa obrazy Trzaskowskiego - wydaje się, że los posesji od początku był przesądzony. Jak sprawy wyglądały w przypadku domu handlowego przy Piastów? W Archiwum Państwowym brak dokumentów wskazujących na chęć odbudowy obiektu. Kwestia ruin „Radefeldta” pojawia się jednak przy innych okazjach. W kwietniu 1959 r. na działce przy ulicach Piastów i Kościelnej (naprzeciw placu ks. Barnima I), planowano budowę nowej siedziby NBP. Miejscowy kierownik wydziału architektury i budownictwa wskazywał na walory okolicy. Jak pisał, po wojnie została odgruzowana i wkrótce może stać się główną arterią do Szczecina, „co jest jednak uzależnione od tego, czy NRD odstąpi nam za Odrą kilka kilometrów kwadratowych, przez które przebiega szosa w kierunku Szczecina”. Brzmi sensacyjnie, lecz rozmowy na ten temat rzeczywiście były prowadzone. Zyskać miała nie tylko powierzchnia kraju, ale także sklep Radefeldta, o czym cytowany urzędnik informuje w dalszej części dokumentu: „Po przeciwnej stronie ul. Piastów stoi wypalony budynek trzykondygnacyjny konstrukcji szkieletowej o przeznaczeniu handlowym, który już w bieżącym roku będzie remontowany”.

Ostatecznie polska ekspansja na zachód nie powiodła się. Podobnie jak odbudowa „Radefeldta”, która nie wyszła poza sferę rozważań i zapowiedzi. Nie licząc planu okolicy naszkicowanego we wrześniu 1959 r. dla potrzeb dyskusji o siedzibie banku, nie zachowała się dokumentacja ani żadne inne wzmianki na temat potencjalnego odrestaurowania ruin. Na ten temat milczą też teczki z pięcioletnimi planami gospodarczymi, w których władze Gryfina odnotowywały bardziej lub mniej realne inwestycje. Zapowiadany remont „Radefeldta” (nazwa pojawia się na szkicu z września 1959 r.) nie wynikał z racjonalnych przesłanek, lecz z euforii, jaka zapanowała w mieście pod koniec lat 50. Ze stolicy spłynęły wówczas pierwsze po wojnie dotacje na gospodarkę mieszkaniową, dzięki którym nie tylko uprzątnięto gruz i przeprowadzono najpilniejsze remonty kamienic, ale również wybudowano bloki mieszkalne przy Niepodległości i 1 Maja.

- Po krótkim okresie ożywienia, miasto powróciło jednak do stanu stagnacji. W połowie lat 60. Gryfino znów wydawało się być miejscem bez perspektyw, jedynie satelitą Szczecina. Włodarze miasta bezskutecznie zabiegali o sfinansowanie inwestycji, jak rozbudowa istniejących zakładów przemysłowych, przedszkola, szpitala, zorganizowanie nowego żłobka, domu kultury – opisywał sytuację prof. Adam Makowski z Uniwersytetu Szczecińskiego.

Do skutku, mimo zaawansowanych prac, nie doszła zresztą nawet planowana budowa oddziału NBP.

Wolał odbudować Warszawę

W pewnym momencie sprawą ruin postanowili zająć się mieszkańcy. Informacje o tym kryją zbiory rodzinne Wandy Grzelak, której ojciec - Edmund Hellar - był zaangażowany w działalność gryfińskiej spółdzielczości.

- Pracował w wielu miejscach, m.in. w wydziale gospodarki komunalnej i mieszkaniowej. Należał też do rady nadzorczej PSS Społem. Z jego notatek z 1949 r. wynika, że roczna działalność firmy zamknęła się zyskiem 3,5 mln zł. Tato jako przewodniczący postawił więc wniosek, by za ten zysk wyremontować dom towarowy Radefeldta – opowiadała na naszych łamach jego córka.

Hellar odnotował, że budynek posiadał dwa piętra, spore zaplecze i duże piwnice z centralnym ogrzewaniem. Był jedynym obiektem w Gryfinie, który miał windę towarowo-osobową.

- Zdaniem fachowca, technika budowlanego pana Trycha, obiekt nadawał się do remontu. Tę planował, że na parterze zmieszczą się sklepy wszystkich branż - wspominała Wanda Grzelak.

Tym ruchem zarząd PSS rozwiązałby dwa problemy, związane z estetyką centrum i sytuacją lokalową Społem. Jeden ze współzałożycieli spółdzielni opisywał ją po latach jako tragiczną.

- Pierwszy spółdzielczy sklep spożywczy otworzyliśmy przy ulicy Chrobrego 21. Przez sufit widać było gwieździste niebo, przez szczeliny w ścianach wiatr wygwizdywał żalosne melodie. Towar na noc zabieraliśmy do domu. Wnętrze sklepu? Kto w tym okresie myślał o estetyce? Życie dyktowało bardziej doraźne potrzeby – napisał Bolesław Chmura w „Świadectwie tamtych dni”.

Jak odnotował jednak w dalszej części wspomnień, które powstały w 1972 r. na potrzeby konkursu „Dzieje szczecińskich rodzin XX wieku”, z czasem, własnym sumptem zaczęto remontować lokale i budynki. W pewnym momencie wydawało się więc, że „Radefeldt” również da się uratować.

- Sprawa była do wykonania, ale obecny na zebraniu spółdzielni Bolesław Chmura dał kontrwniosek, a Zygmunt Rybicki go poparł. Cały zysk, zgodnie z ich sugestią, postanowiono przekazać na rzecz odbudowy Warszawy. Jakby w naszym mieście nie było czego odbudowywać – skwitowała gorzko córka Edmunda Hellara.

Fotografia z wyburzenia

Skoro w latach 50. rozebrano nadający się do odbudowy ratusz, „Radefeldt” tym bardziej nie miał żadnych szans. Zniknął, gdy gryfinianie zdążyli przyzwyczaić się do jego widoku. Stało się to w czasie, gdy nie było już innego wyjścia. Pozostawiony sam sobie, niszczał. Jako pierwszy odpadł jeden z wykuszy, ciągnąc za sobą całą konstrukcję dachu. Stan techniczny dawnego domu mody coraz bardziej zagrażał bezpieczeństwu, nie tylko dzieci bawiących się w jego murach dzieci, ale też przechodniów zmierzających w stronę kościoła lub mostu. Kolejną bolączką był unoszący się w okolicy zapach.

- Przy placu ks. Barnima I znajdował się mini-targ, na którym handlowali rolnicy. Po całym dniu pracy wiązali konie do słupów „Radefeldt” i szli napić się do baru Orczyk po drugiej stronie ulicy – wielokrotnie przytaczał Leopold Kemmling.

Tak naprawdę społemowski lokal przy ul. Piastów nazywał się Odra. Ta mniej oficjalna nazwa powstała za sprawą bójki, w której dwóch rolników, zamiast pięści, użyło konnych orczyków. Jak mówią ówczesni, to nie jedyna tego typu sytuacja. Orczyk był typową mordownią, w dodatku bez zaplecza sanitarnego. Bywalcom za szaleć służyły pobliskie ruiny.

- Raz weszłam na parter i zapamiętałam, że było tam pełno wody. Większość pomieszczeń służyła wtedy za publiczną toaletę dla znajdującej się naprzeciw pijalni – potwierdza urodzona w 1952 r. gryfinianka.

To często przewijające się wspomnienie.

- W „Radefeldzie”, za sprawą baru naprzeciw, zrobiło się gnojowisko. Ludzie wrzucali do środka śmieci, wybiło wodę. Rozkradziono silniki i liny podtrzymujące windę towarową. Obiekt znajdował się w coraz gorszym stanie technicznym – opowiada Andrzej Grygiel, „chłopak z Marchlewskiego”.

Z czasem stało się jasne, że „Radefeldt” musi zniknąć. Mimo wielomiesięcznych starań, nie udało się nam ustalić dokładnej daty wyburzenia. Nie odnotowano jej w dokumentach ani w prasie. Gryfino nie posiadało własnej gazety, a szczecińskie „Kurier” i „Głos”, których roczniki 1960-1970 przejrzelśmy numer po numerze, nie zwykły pisać o likwidacji budynków w małych miasteczkach. Zdarzenia te były

wyłącznie tłem dla artykułów o „nowoczesnym Świnoujściu”, „przebudowywanym Goleniowie” i konkursach na „mistera” wśród szczecińskich budynków. Lata 60. i 70. stanowiły okres boomu budowlanego na całym Pomorzu, kolejną odsłoną repolonizacji. Wobec braku źródeł, aby określić czas zniknięcia „Radefeldta”, odbyliśmy kilkadziesiąt rozmów ze świadkami historii. Ich sugestie, po zestawieniu z archiwaliami i fotografiami, pozwoliły zawęzić poszukiwania do lat 1968-70. Pomogło zwłaszcza ustalenie dat symbolicznych, takich jak czerwiec 1968 r., gdy Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów podjął decyzję o wybudowaniu pod Gryfinem Elektrowni Dolna Odra. Inwestycja ta doprowadziła do całkowitej przebudowy miasta. By zrobić miejsce dla nowego, stare burzono z jeszcze większym zapalem. Nie było w tym nic złego. Gryfino otrzymało szansę na drugie życie i zamierzało z niej skorzystać. W ciągu pięciu lat od symbolicznego wbicia łopaty, populacja wzrosła z 6,5 do 15 tysięcy mieszkańców. Wielu z tych, którzy wówczas stali się gryfinianami, ruiny domu handlowego zna wyłącznie z opowiadań. W momencie ich przybycia nie strzegły już centrum miasta. Żelbetonowej konstrukcji nie pamiętają też niektórzy żołnierze 39 dywizjonu rakietowego Obrony Powietrznej. Jednostka zawiązana w 1968 r., znajdowała się w Czarnówku, lecz wojskowych lokowano w nowym bloku przy ul. Piastów, po drugiej stronie ruin.

- Klucze do mieszkania dostałem zaraz po skończeniu budowy, w sierpniu 1968 r. „Radefeldt” jeszcze stał, ludzie opowiadali, że to dawny dom handlowy. Wyglądał źle. Spadliska leżały na ziemi, po kilku miesiącach został całkowicie wyburzony – opowiada Jan Malec.

Do bazy w Czarnówku został też skierowany Aleksander Blejsz.

- Przyjechałem do Gryfina we wrześniu 1970 r. i ruin już nie widziałem. Po tym jak się wprowadziłem, na pustej działce obok zaczęto budować nowy blok – przyznaje. Można więc założyć, że do wyburzenia doszło między sierpniem 1968 a wrześniem 1970, ale pewność nie jest stuprocentowa. Ludzka pamięć płatała nie takie figle. Nasi rozmówcy są jednak zgodni co do jednego: było szaroburo i zimno. Potwierdza to fotografia, do której dotarliśmy. Została wykonana w momencie wyburzania obiektu przez saperów z jednostki w Podjuchach. To unikatowa rzecz, dotąd niepublikowana. Przedstawia ostatnie sekundy domu handlowego, który jeszcze trzydzieści lat wcześniej rozbudzał wyobraźnię miejscowych.

- Byłam nastolatką, gdy go wyburzali. Wcześniej zabezpieczono blok „pod nóżkami”, oklejono szyby plastrami. Wiele okolicznych domów miało okna pozabijane deskami, by wybuch ich nie wybił – opowiada Maryla Rusiecka.

- Gdy był już zburzony, na ziemi leżały wielkie łuki. Gruz znajdował się w tym miejscu jeszcze przez jakiś czas – dopowiada Henryk Dąbkiewicz.

Dwa pomorskie nazwiska

Fritz Radefeldt nie doczekał upadku ani nawet zmierzchu swojego imperium. Zmarł 23 kwietnia 1943 r., w wieku 71 lat.

- Był nieuleczalnie chory już w momencie pisania przez Hayna „Kroniki rodziny Radefeldt”. Wiele jego obowiązków przejęła żona Klara. To właśnie z powodu choroby, po 1934 r. nie założył żadnego nowego sklepu, a prowadził negocjacje w sprawie domów handlowych w Neustrelitz i Lübz – opowiada wnuk Fritza.

Podobnie jak jego rodzice (Carl w 1905 r. i Bertha w 1914 r.) spoczął na terenie gryfińskiego cmentarza. Lokalizacja jego grobu nie jest jednak możliwa. W latach 70., gdy zaczęło brakować miejsc na pochówki, władze postanowiły zlikwidować niemieckie kwatery. Włodarze miasta bez szacunku potraktowali też odnalezione w tym czasie szczątki żołnierzy.

- W 1970 r. rozpoczęto budowę bloku przy ul. Piastów. Wykopy pod tzw. budynek Pomorskiego przerwano na początku maja, po tym, jak łyżka koparki odsłoniła ludzkie kości. Przez kilka dni teren zabezpieczała milicja, do czasu ekspertyzy specjalnej komisji. Okazało się, że ziemia kryje szczątki niemieckich żołnierzy. Bez wahania wznowiono roboty, a „urobek” przewieziono za stadion, gdzie znajdowało się wysypisko gruzów. Widok kości i czaszek był na porządku dziennym – opisywał Leopold Kemmling w „Gryfińskim Kwartalniku Historycznym”.

Sprawa wiąże się z ruinami sklepu.

- Gdy w miejscu po „Radefeldzie” zaczęto budować blok, postanowiono pozbyć się „brudów”. Wykopano wielki dół, do którego zrzucano cały gruz z fragmentami kości i czaszek – dopowiadał po latach Kemmling.

Symboliczny grób dawnego świata. Jego zmierzch nastąpił w ciągu kilku tygodni.

Wiele osób opuściło miasto już na przełomie 1944 i 1945 r., inni dotrwali do wizyty Hermanna Goeringa. 14 lutego 1945 r. dowódca Luftwaffe rozdawał cygara, zachęcając mieszkańców Greifenhagen i Bahn, aby sięgnęli po broń i stawili opór agresorom. Gdy jednak podano informację o planowanym wysadzeniu mostów, miasto opustoszało.

Uciekli także potomkowie Fritza Radefeldta. To dla nich trudna część rodzinnej opowieści. Dotyczy bowiem nie tylko straty majątku i miejsca zamieszkania.

- Auto do ucieczki zorganizował Willi Littmann i Klara Radefeldt. Podróżowaliśmy bez ojca, który dołączył do nas później. Został wcielony siłą do Volkssturm i musiał bronić Bahn. W Zapel (niedaleko Schwerin) nasz mały samochód został zaatakowany z karabinu maszynowego przez angielskiego lub amerykańskiego pilota. Moja mama Eva i 4-letnia siostra Dorothea zginęły na miejscu, przy wiejskiej szosie. Brat Ulrich został ciężko ranny w nogę, w twarz i stracił palec. Bez szwanku wyszedłem tylko ja i druga siostra – opowiada emerytowany profesor lingwistyki.

Jego bliskie zostały pochowane na cmentarzu w Zapel.

- Napis na nagrobku opowiada o tych najstraszniejszych godzinach naszego życia i konieczności szukania nowego miejsca na Ziemi. Nasza rodzina zamieszkała w różnych częściach zachodnich Niemiec. Willi Grimm i Elisabeth w Kiel, a Karl-Ludwig z rodziną w Ostfriesland. Mój owdowiały ojciec, który do 1948 r. i ponownego ślubu musiał opiekować się gromadką dzieci, wybrał Lübeck, stare i zniszczone przez wojnę hanzeatyckie miasto. Musieliśmy poradzić sobie z traumą i zacząć od nowa. Po wielu latach udało się jednak zbudować znaczenie nazwiska w nowych miejscach. Karl-Ludwig, mój ojciec chrzestny otworzył nawet w Norden sklep handlowy Radefeldt! – opowiada Jürgen.

Nie wszyscy potrafili jednak zapomnieć.

- Do ostatnich dni, a zmarł 9 września 1990 r., tato nie mógł poradzić sobie ze stratą ojczyzny. Nawet zjednoczenie Niemiec ucieszyło go tylko w pewnym stopniu, bo jego Bahn ciągle znajdowało się poza granicami kraju. Aby upamiętnić nasze dziedzictwo, w 1968 roku wystąpiliśmy z wnioskiem o urzędową zmianę nazwiska na Schmidt-Radefeldt. Oba jego człony odzwierciedlają nasze pochodzenie i tożsamość. Świadczą o przynależności i historii, opisując zarówno szczęśliwe, jak i nieszczęśliwe losy naszej pomorskiej rodziny. To hołd dla mojej zmarłej tragicznie mamy, ale też innych przodków, którzy odeszli. Dziś nie ma już nie tylko Fritza i babci Klary (zmarła w 1977 r.), ale też ich dzieci i części wnuków – wylicza Jürgen Schmidt-Radefeldt. Fotografię z wyburzenia sklepu dziadka, którą otrzymał od nas, powiesił nad biurkiem.

- To symbol przytłaczającego kunsztu i dawnej wielkości „imperium Fritza”, ale też przemijalności. Dowód na to, że nie wszystko będzie trwać wiecznie – podsumowuje jeden z trzech żyjących wnuków Fritza.

